Nr. 52. We Lwowie dnia 24. Grudnia 1899. Rok 7.



Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

32)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

W czasie podróży naszej przez tundrę zwracaliśmy baczną uwagę na florę i faunę. Zwiedzając zaciszne doliny, zebraliśmy obfitą kolekcję roślin jawno-kwiatowych w rozmaitych stadjach rozwojowych: na pochyłościach dolin, zwróconych ku północy rosły okazy, poczynające zaledwie się rozwijać, zaś na stokach południowych zbieraliśmy osobniki, będące już w pełnym kwiecie, albo nawet okwitłe, z dojrzałemi nasionami. Pomiędzy zebranymi gatunkami były róże alpejskie, niezapominajki, maki etc. Owadów napotykaliśmy nie wiele, z pomiędzy nich łuskoskrzydłe, zwane po jakucku „Chomardus“, stanowiły główną część naszych kolekcji. Mgły ciągłe i częste deszcze utrudniały zbieranie i konserwowanie, a zarazem czyniły samą podróż nieprzyjemną.

Przejście do tundry wielkiej było zaznaczone wypadkiem bardzo nieprzyjemnym, który jednak na szczęście nasze nie pociągnął za sobą żadnych złych następstw. Piątego sierpnia rano, gdy pierwsza partja naszego obozu już była dawno wyruszyła w drogę, a my zajęci byliśmy zwykłą pracą kolektorską w niewielkiej odległości od miejsca noclegu, wśród gór golcowych, dosięgających tutaj 700 stóp wysokości, naraz raptownie otoczył nas obłok mgły tak gęstej, że na kilka kroków do koła siebie widzieć nic nie było można. Przestrzegani i nauczani uprzednio przez naszych przewodników jak mamy postępować w podobnych wypadkach, zastosowaliśmy się do rad nam udzielonych wyczekując z cierpliwością chwili, gdy się nieco przejaśni; po kilku godzinach takiego oczekiwania męczącego wróciliśmy do przewodnika i reniferów, poczem wnet ruszyliśmy spiesznie na miejsce wyznaczone na nocleg, ale tutaj obozu nie było. Zmrok wieczorny, mgła i zmęczenie reniferów nie pozwalały na dalszą podróż, musieliśmy więc nocować pod gołem niebem. Przewodnik nasz jednak, nie zrażony cieniem nocy, ufny w zmyślność swego wierzchowca, a nadto podniecany uczuciem głodu, postanowił puścić się w drogę i odszukać obóz, licząc na to, że renifer węchem znajdzie swoich towarzyszy, szczególniej teraz, gdy będzie sam jeden odbywał drogę. Pozostawszy, usiedliśmy na kamieniach u źródełka najbliższego, trzymając w ręku naszych wierzchowców, ażeby nam nie uciekły, spędziliśmy noc całą wśród mgły — ziębnięci, przemokli i głodni. Dopiero z brzaskiem poranka, gdy mgła, przeistoczyła się w deszcz obfity, na hasło wystrzałów rewolwerowych przybył nareszcie nasz przewodnik i już za dnia doprowadził do obozu.

Do dnia 10. sierpnia szliśmy przez wysoką tundrę, stanowiącą rozdział wód pomiędzy dopływami z jednej strony rzeki Leny, z drugiej Oleneka, następnie mijamy okolicę mniej górzystą, obfitującą w liczne źródełka, dające początek strumykom, spływającym w kierunku zachodnim; w tych miejscach tundra zniżać się zaczyna tarasami obszernymi ku dolinie Oleneka, tundra ta jest sucha, bez błot i jezior, na zachodniej jej granicy przerzynają ją dolinki i rzeczki bez nazw. Jakuci, nasi przewodnicy, mieli mapę swoich posiadłości północnych głęboko wyrytą w pamięci, a pamięć ta rzadko zawodzi i wprawia w podziw każdego, dla mniejszych dolinek nazw nie mają wcale. Dziesięć dni z rzędu idziemy w kierunku północno-zachodnim, zstępując coraz niżej ku dolinie głównej rzeki, w tym pochodzie przekraczamy wierzchołki wielu dopływów: Derbilgilach, Chołbuj, Majkangda etc. Po dolinach tych rzeczek, u strumyków i źródełek znajdujemy obfity materjał florystyczny, składający się przeważnie

z mchów i porostów. Owadów tutaj znajdujemy nie wiele.

Nareszcie dnia 19. sierpnia, spuszczając się wzdłuż po dolinie rzeki Karłungtas, a później krocząc po wązkim jej łożysku, otoczonem wysokiemi skałami, dochodzimy do prawego brzegu Oleneka i odtąd już doliną tej rzeki postępujemy naprzód, oddalając się od niej jedynie wtedy, gdy głębokość ujścia jej dopływów, zmusza nas do szukania brodów wyżej po dolinach.

Dotarłszy do rzeki Olenek osiągnęliśmy cel główny naszej obecnej wyprawy, Czekanowski był zadowolony i pracował bezustanku. Po drodze napotykamy liczne obnażenia warstw, ułożonych prawie poziomo w ich pierwotnem położeniu, tu dopiero geolog może mieć nadzieję rozwiązania zawiłych zagadnień, nie rozstrzygniętych podczas uprzednich wypraw. W dalszym naszym pochodzie mijamy ujście rzeczek: Kang, Kokus, Karbałagan, Czarczyk, Łukomoj, Meng-uku i Meng; w dolinach tych rzeczek pojawiają się znowu nikłe zagajenia modrzewi, gdzież zarośla krzaczkowatych wierzb i brzeziny północnej; im bliżej ku ujściu Oleneka, tem rzadziej się je napotyka, lecz dochodzą one w niewielu wprawdzie okazach aż do 72. stopnia szerokości geograficznej, zaś pojedyncze pnie drzewek uschłych, lub ściętych widziane były i po za tą granicą; spostrzeżenia nasze, prowadzone w celu określenia granicy północnej dla modrzewia i świerków, zdają się przemawiać za tem, że granica ta cofa się w obecnym perjodzie coraz bardziej ku południowi.

Rzeka Olenek jest bez porównania mniejszą od Leny, jej długość wynosi około 3.000 wiorst, wtedy, gdy długość Leny ma mieć około 5.000 wiorst; kierunek jej ogólny jest równoległy do głównego kierunku rzeki Leny. W tych miejscowościach, gdzieśmy wstąpili na dolinę Oleneku, szerokość rzeki jest nieznaczna, wynosi ona zaledwie 100 sążni; poczynając jednak od ujścia rzeczki Meng i aż do ujścia rzeczki Komotar, szerokość Oleneka znacznie się powiększa, gdyż mierzy tutaj około jednej wiorsty; rzeka zbiera wody licznych dopływów: Goraj, Oho-Ongoktak, Kirczaktak, Neng Jurak, Kiritak etc., przyczem łożysko rzeki jest zajęte obszernemi wyspami. W dalszym biegu szerokość Oleneka zmniejsza się znowu i w pobliżu ujścia rzeczki Bolkołak wynosi zaledwie 80 sążni. Wszystkich rzek i rzeczek, wpadających do Oleneka, liczą 110, ujście jego do oceanu lodowego jest trzyramienne, obejmuje ono przestrzeń 30 wiorst, na której mieszczą się trzy duże wyspy, z nich zachodnia, zwana Dżangałach, mierzyć ma wiorst 20. Ujście samo leży pod $73^1/_2$ stopniem szerokości geograficznej. W tych stronach Olenek pokrywa się lodem 1. października i oczyszcza się z lodów 1. lipca. Dwudziestego pierwszego sierpnia przechodzimy przestrzeń zawartą pomiędzy ujściami rzeczek Kirczaktak i Kirytak; całe wybrzeże w tem miejscu jest zawalone bryłami różnej wielkości, oderwanemi od skał wysokich, otaczających dolinę, bryły te są pokryte cieńką warstewką błyszczącego szkliwa; same skały i bryły są ko-

---

KAROLINA ŚWIETLA.

RUSAŁKA.

(Dokończenie).

Od tego dnia hrabia wymykał się co wieczór z plebanji i spieszył ku lipie, pod którą siadywał z Elą tak długo, aż niebo srebrzyć się zaczynało nad „Pannami“. Czasem on szeptał coś z cicha, to znowu ona poruszała wargami. Nie ulega wątpliwości, że przesłuchiwała go, aby się przekonać, czy dokładnie pamięta wszystkie bajki, które mu opowiedziała.

Młody hrabia miał jednak, niestety, ze sobą starego lokaja, który, stosując się do surowego nakazu hrabiny matki, pilne dawał nań oko. Owóż lokaj ów zauważył bardzo prędko nocne wycieczki panicza i udawszy się pewnego razu w ślad za nim, przekonał się, że zamiast spać, przysłuchuje się bajkom rusałki pod lipą.

Nie mówiąc o swojem odkryciu nikomu ani słówka, napisał do starej hrabiny sążnisty list, w którym powiadomił ją szczegółowo o wieczornych wycieczkach syna, a jeszcze szczegółowiej opisał rusałkę, — jej włosy złociste, modre oczęta, różane jagody i niezwykłą umiejętność opowiadania bajek.

Wkrótce po wysłaniu tego listu, zaturkotał na wiejskiej ulicy ciężki powóz i skręcił wprost do plebanji. Nagle pocztyljon, siedzący na koźle w czerwonym kaftanie, zatrąbił tak donośnie, że spłoszony drób rozleciał się we wszystkie strony, psy jęły ujadać, a gospodyni proboszcza wypadła z kuchni, aby zobaczyć, co się to dzieje.

Wtem wyskoczyła z karety pani z wysokiem piórem na kapeluszu, z ciężkim łańcuchem na piersi, w jedwabnej szeleszczącej sukni, która wlekła się za nią na łokieć po ziemi. O sto kroków mógłby każdy poznać, że to czystej krwi hrabina, gdyby nawet i nie był widział dumnego skinienia głowy, którem odpowiedziała pokornie kłaniającej się gospodyni

Chciała rozmówić się natychmiast z proboszczem i posłała szukać syna. Ten jednak siedział pod lipą, trzymał w dłoniach drżące ręce rusałki i wołał do wysłanego lokaja: „Nie ruszę się stąd bez niej!“

Nadaremnie Ela siliła się go przekonać, by usłuchał matki i opuścił ją, bo jest sobie prostą dziewczyną, dobrą jedynie do opowiadania bajek. Hrabia tem mocniej przyciskał ją

loru czerwonego i robią wrażenie takie, jak gdyby kiedyś podlegały działaniom ognia; ponieważ jednak nigdzie tu niema śladów wulkanicznej działalności, stąd jedyny dopuszczalny wniosek byłby ten, że wypalenie warstw uskutecznione zostało przez pożar, wzniecony w pokładach węgla kamiennego.

W dalszej naszej podróży Czekanowski był zajęty w ciągu kilku dni z rzędu badaniami geologicznemi w dolinie rzeki Mengilag i w okolicach góry Kardyś-Chaja, tutaj znalazł on bardzo piękne obnażenia profilowe pokładów i niezmiernie ważne skamieniałości. Po ukończeniu badań przyszedł do przekonania, że dopiero teraz może wskazać stanowczo na kolejne następstwo warstw, dotąd widzianych w różnych okolicach kraju zwiedzanego. Według niego najgłębiej zalegają warstwy Ceratitowe czarnego łupku, nad niemi leżą pokłady siwo-szarego łupku, następnie warstwy szarego piaskowca, dalej piaskowca Turakskiego, powyżej pokłady Inoceramowe, nakoniec świeże pokłady gliny i torfiska. Warstwy Inoceramowe były znalezione na Amurze, sądził więc, że teraz da się określić wiek pokładów dalekiego wschodu i w ten sposób może się uda z czasem połączyć w jedną całość wszystkie poszukiwania dotychczasowe.

Dolina Mengilag okazała się najbardziej interesującą ze wszystkich, dotąd zwiedzonych, znaczne zbiory, złożone ze skamieniałości i okazów skał, wcielone zostały do kolekcji dotychczasowych.

Minąwszy 26. sierpnia ujście rzeczki Bakyr, zwiedzamy górę wysoką, zwaną Kawanczat, z jej wierzchołka widać było całe ujście Oleneka mianowicie: oba przylądki, stanowiące jego granicę, Ewa-Chaja ze strony zachodniej i Tumul-Chaja ze strony wschodniej, następnie widzieliśmy wielką wyspę zachodnią i po raz pierwszy, tu z tego miejsca oko nasze ujrzało ocean Lodowaty; smutne on jednak na nas wywarł wrażenie: ciemne chmury kłębiły się nad nim, spuszczając się nisko, a kolor nieba ponury zlewał się z barwą ciemnych wód oceanu; granicy pomiędzy niemi nie można było na razie rozpoznać, dopiero wpatrzywszy się dobrze, spostrzegliśmy u kresu widnokręgu wązki, srebrzysty pas ruchomej fali morskiej. Nadzieje zobaczenia gór lodowych, o których nam opowiadali nasi przewodnicy, zawiodły zupełnie.

Dwudziestego szóstego sierpnia zbaczamy w kierunku na wschód, w celu zwiedzenia góry najwyższej w tych stronach, zwanej Karanczat-Chaja, z jej wierzchołka widzi się ogromną przestrzeń kraju dookoła. Noc 27. sierpnia spędzamy w osadzie włościańskiej Bolkołak. Pierwotna jej nazwa miała być Wołkolicha, zmienioną jednak została przez Jakutów i zjakuciałych potomków włościan rossyjskich na obecne jej miano. Historja tej osady jest niezmiernie ciekawa, wiedzie ona swój początek od czasów panowania cesarzowej Katarzyny. A były to czasy wielkich planów i projektów owej władczyni, na której rozkazy pchano ludność z Rossji europejskiej i ze świeżo zabranych

---

do piersi i nie puścił nawet wówczas, gdy matka stanęła przed nim we własnej postaci, z groźnem piórem na głowie, w gniewnie szeleszczącej sukni.

Przemawiała doń najpierw łagodnie, w jakimś niezrozumiałym dla rusałki języku, potem coraz ostrzej, a gdy nie ruszał się z miejsca, podniosła głos i zaperzona ze złości, pogroziła mu palcem.

Przerażona Ela, widząc to, szarpnęła się tak silnie, że się jej udało nareszcie wyrwać hrabiemu. Zerwała się więc i uciekła do komory, a ksiądz proboszcz uspokajał przy obiedz e hrabinę, upewniając ją, że rusałka wyrzeka się dobrowolnie jej syna, bo miłuje go zbyt szczerze, aby narażać na gniew matki.

Ela powzięła rzeczywiście takie postanowienie. Nadaremnie hrabia, wymknąwszy się staremu lokajowi i bystrym oczom matczynym, pukał wieczorem do jej okienka, — nie otworzyła mu, a nawet nie powiedziała ani słówka na pożegnanie, nie podała ręki, by ją mógł ścisnąć po raz ostatni.

Hrabia otoczył ramionami, zamiast dziewczęcia, starą lipę, a ta widząc jego boleść, skropiła go bujnemi łzami, jakkolwiek dawniej bywała nieraz o niego zazdrośna. Odszedł od niej płacząc i oświadczył matce, że zgadza się odjechać do Pragi.

Hrabina, uradowana, że syn tak zmądrzał nagle, kazała natychmiast zaprzęgać, obawiając się, aby mu znowu co innego nie zaświtało w głowie.

Pocztyljon w czerwonym kaftanie wskoczył na kozioł i zatrąbił znów tak raźnie, że spłoszony drób po raz wtóry rozbiegł się we wszystkie strony, a psy zajadle się rozszczekały. Hrabina, z taką samą dumą skinąwszy głową gospodyni, wsiadła do powozu, szeleszcząc jedwabiami. Młody hrabia szedł za nią, gdy stanął jednak na ganku plebanji i zobaczył zielony wierzchołek lipy, widniejący ponad niskiemi chałupami, chwycił się za serce, padł na ziemię i leżał długo bez przytomności.

Gdy się go docucono nareszcie, nie poznawał nikogo, a chociaż leżał pod puszystą kołdrą, na gościnnej pościeli księdza proboszcza, mniemał, że siedzi na ławce pod lipą obok rusałki, że zaplata i rozplata przy świetle księżyca złote jej warkocze, ona zaś opowiada mu bajkę o grobie oblubieńca, przyczem żałobna gałązka rozmarynu wyrasta z własnego jego serca.

— W grobie przynajmniej nie pozostawisz mnie samego, — szeptał w majaczeniu gorącz-

prowincji na północ i wschód daleki. Przodkowie tej nędznej osady, składającej się obecnie z kilkunastu jurt jakuckich, pochodzili z gubernji Archangielskiej; przeniesiono ich tutaj na wybrzeża morskie Azji, ażeby uczyli ludność tubylczą, jak mają łowić i solić rybę dla celów handlowych. Rozkaz wykonano bez względu na to, że na wybrzeżach oceanu Lodowatego, gdzie osiedlono włościan Archangielskich, niema ani soli, ani beczek, ani ludzi, którzyby rybę soloną jeść chcieli. Biedni włościanie, znalazłszy się w warunkach najnieprzyjaźniejszych dla życia człowieka, powoli wymierać i przeobrażać się zaczęli, dziś pozostało już kilkanaście osób tylko, które zatraciły zewnętrzne nawet oznaki typu Słowiańskiego, zapomniały mowy ojczystej i w niczem się nie różnią od Jakutów: żaden z tych potomków rybołowów archangielskich dziś słowa po rossyjsku powiedzieć nie umie. Ich starszyna Dawid, który przebył z uroczyska Dziankir na nasze spotkanie, porozumiewał się z nami przy pomocy tłumacza: uskarżał się on na to, że w „spiska h“ oficjalnych, czyli w wykazach ludności liczą „dusz męzkich“ 32 osoby, wtedy kiedy przy życiu pozostałych jest tylko 12, a wszakże tym 12-tu nędzarzom każą płacić podatki, wynoszące po 9 r. od osoby męskiej i to za trzydziestu dwóch mężczyzn, podanych w wykazach przed laty kilkunastu. To też gmina włościańska w Bolkołaku zalega w podatkach i nie ma żadnych środków do polepszenia bytu swego. Prośba o pozwolenie zapisania się do kategorji tubylców „Inorodców“ nie została uwzględniona, a wszakże to jedno mogłoby ich z obecnego upadku podźwignąć, z chwilą uznania za tubylców, zmiejszyłyby się podatki, gdyż Jakuci płacą „Jasak“ w naturze skórkami piescowemi, po jednej skórce od osoby męskiej. Zajęcie włościan niczem się nie różni od zajęć Jakutów, latem łowią ryby, zimą polują na piesce, posiadają przytem nie wielkie stada reniferów. Narzekają tylko, że wilki stra znie niszczą stada reniferów hodowanych i stanowią jedną z największych plag dla mieszkańców północy. Wilki bowiem utrudniają hodowlę reniferów, wykopują z pod pułapek złowione piesce, porywają psy zaprzęgowe i napadają niekiedy na podróżników i myśliwych. Szkody, jakie wyrządzają wilki tutaj, są ogromne, jakkolwiek nie dają się ściśle obliczyć.

(Ciąg dalszy nastąpi).



---

kowem — wszak wiesz, że byłoby mi źle bez ciebie w tych ciemnościach i lodowatem zimnie. Tam jedynie matka pozwoli mi z tobą przebywać, to też wolę grób, niż pozłocisty pałac w Pradze.

Palce jego skubały przy tem kołdrę takim ruchem, jakim czynili to ci tylko, którym ksiądz proboszcz udzielał ostatniego pomazania.

— Nie potrwa to długo, bo chory grób sobie już kopie, — mówiły baby, pilnujące hrabiego, a ich przepowiednia zawsze się spełniała.

Ksiądz proboszcz zakomunikował swoje obawy hrabinie, a ta krzyknęła rozdzierającym głosem i rzuciła się do syna. Kapelusz spadł jej przytem z pysznej głowy, wysokie pióro się złamało, łańcuch się potargał, a jedwabna suknia na dobre się zmięła — nie było już hrabiny — pozostała tylko matka.

Hrabia oprzytomniał na chwilę.

— Jakto, zazdrościsz mi rusałki nawet w grobie? — jęknął — oto uciekła, spłoszona twoim krzykiem. Pozostaw-że mi ją, zaklinam! Wszak w ciemności grobu nikt nie zobaczy, że pieszczę oblubienicę w zapasce.

— A pieść że ją sobie, choćby w obliczu całego świata, bylebyś tylko o śmierci nie myślał! — zapłakała hrabina. — Przyprowadźcie mi tu zaraz tę dziewuchę. Jeżeli uratuje mi syna, niech go sobie zabierze w nagrodę z duszą i ciałem!

Ela przyszła. Nie spojrzała ani na hrabinę, ani na nikogo, okryła pierś chorego ślubnym fartuchem nieboszczki matki — co w naszych górach uważa się jako środek niezawodny przeciwko wszelakim niemocom — położyła mu rękę no serce i zaczęła odmawiać po cichu modlitwy.

Blada była, jak śmierć, ale nie uroniła ani jednej łzy. Nie spuściła z niego oczu, nie poruszyła się, nie wzięła nic w usta, klęczała przy jego łóżku cały dzień i całą noc, wciąż trzymając rękę na jego sercu i modląc się z cicha, aż palce chorego przestały kopać grób, z twarzy zniknęła bladość śmiertelna, pierś zaczęła się podnosić równiejszym oddechem, — aż zasnął spokojnym snem przy szepcie jej warg, przy modlitwie miłującego serca.

A gdy się obudził z długiego, krzepiącego snu, był zdrów i wesół. Stara hrabina przygarnęła do piersi rusałkę, niby córkę rodzoną i zaczęła ją odtąd traktować, jako przyszłą żonę syna, a ksiądz proboszcz jął czynić przygotowania do ślubu!

JANINA BAUDOUIN DE COURTENAY.

LENORA.

(Na temat Bürgera).

— Ten sam jest przy tobie, któremu w podobną noc majową, nie śmiejąc szeptać wstydliwemi usty, duszą całą jednak wołałaś: „wybrany mój, najmilszy, najszlachetniejszy wśród wszystkich!“ O, może cię ośmielę, może przyciągnę do siebie, gdy mignę przed oczami twemi chwilowym cieniem przeszłości! Patrzże, patrz na mnie! poznaj! ukochaj na nowo! Upadnij z drżeniem szczęścia w objęcia moje! Przybywam na schadzkę miłosną do ciebie, władczyni moja — widzialny i dotykalny! Patrz na mnie! Pójdźże! pójdź w moje objęcia!

Woń nieznanego kwiecia okala rozwiewnym obłokiem białą, mdlejącą jej postać. W pół-,mgle, w pół-mroku wykwita jasność przejrzysta i drżąca, sfalowana, jak wielolistny, bujnie rozkwitły olbrzymi kwiat mistyczny. I w światłokręgu jasności tej wonnej a drżącej — widzi zdumione jej oko bajecznie cudne a ukochane zjawisko nadziemskiej piękności, nadziemskiej, zda się, mocy — i czaru nieziemskiego. Korona z czarnych kędziorów ocienia przeczyste, zadumane czoło. Wzrok pełen nowej nadludzkiej potęgi, ale pełen zarazem znanego ognia miłości i najgorętszej pieszczoty. Usta pół rozchylone jeszcze dźwiękami zamierających błagań i zaklęć namiętnych. Mgła księżycowo-błękitna, niby chiton srebrzysty — odziewa smukłą postać młodzieńczą. Od ramion... czy to skrzydła lśniące a serafaiczne — czy tylko zwoje promieni, rozpływające się w górze?...

— To on! z ich dawnych wieczorów majowych, z pierwszych chwil cudnych uniesień wiosennej ich miłości. To on! lecz tylko przekrólewiony życiem nadziemskiem, uskrzydlony potęgą innego świata.

I oto wobec zmarłego króla tego — czuje się biedne dziewczę prochem ziemi. I czuje przed nim lęk taki, jak niewolnica, sprowadzona przed oczy padyszacha. Skinienie jego rozporządza jej losem. Więc gdy nieziemski ten królewicz wyciąga ku niej władcze i słodkie ramiona — krzyk pełen zachwytu i przerażenia zarazem pierś jej na dwoje rozrywa.

* * *

Po chwili inne ramiona, drżące, lecz ciepłe i macierzyńskie tulą ją omdlałą i bezsilną.

— Zastanów się dobrze, Ryszardzie, nim mię stąd zabierzesz, — mówiła Ela na pół smutnie, na pół żartobliwie do narzeczonego, gdy w przeddzień ślubu siedzieli po raz ostatni pod lipą — jestem sobie prostą dziewczyną z gór i może później będziesz mnie się wstydził wobec równych sobie, może będziesz mi wyrzucał moje pochodzenie. Pamiętaj jednak, że gdybyś to kiedy uczynił, rozpłynę się w białą mgłę i to razem z tem, co ci będzie najdroższe. Nie nadaremnie nazywają mię rusałką.

Ryszard zamknął jej usta pocałunkiem, śmiejąc się z przypuszczenia, że mógłby kiedykolwiek miłować ją mniej gorąco, niż w tę słodką godzinę.

Nazajutrz, gdy Ela zajęła miejsce obok teściowej w powozie, na kapeluszu jej powiewało pióro zupełnie takie, jak u tamtej, szyję otaczał równie gruby łańcuch, a jedwabna suknia niemniej głośno szeleściła, — była, jednem słowem, skończoną hrabiną, tyle tylko, że nie umiała jeszcze tak dumnie kiwać głową, gdy ją pozdrawiano. Co gorzej, gdy sąsiedzi przyszli z nią się pożegnać, wybuchnęła rzewnym płaczem i tak serdecznie ściskała ich dłonie, że stara hrabina jęła znacząco chrząkać, — a hrabia odwrócił się z lekkiem pomieszaniem, udając, że poprawia za sobą poduszki. Na szczęście konie ruszyły z miejsca i powóz pomknął w szeroką dal...

* * *

Dwa lata minęły. Na świecie był znowu maj.

Ela wyszła po długiej chorobie po raz pierwszy na balkon wspaniałego swego pałacu i wsparta o złoconą balustradę, chwytała spragnionemi usty rzeźwy oddech wiosny, podstawiała mu czoło płonące. I pod kojącym jego wpływem zaczęły się zwolna rozpraszać ponure widziadła, które ją dręczyły w chorobie, — widziadła, wywołane wzrastającą obojętnością męża i tęsknotą za synaczkiem, którego teściowa zagarnęła pod swoją wyłącznie opiekę, aby zeń zrobić prawdziwego hrabiego. Serce rusałki otwierało się znowu do szczęścia, niby kwiat do słońca: zaczynała wierzyć i ufać. .

Wtem dał się słyszeć tentęt i na ulicy ukazało się konne grono pań i panów. Na czele gromadki jechała amazonka z białem piórem u kapelusza i żywą prowadziła rozmowę z towarzyszącym jej, młodym panem, a purpurowe jej wargi płonęły jaskrawiej od pąsowej róży, w czarne wpiętej warkocze.

IV.

— Skrzywdziłaś mnie wprawdzie mimowoli. Ale możesz naprawić zło świadomie i dobrowolnie. Gdybym wiedział, że krzywdy tej nagrodzić mi nie jesteś w stanie, albo uczynić to tylko możesz nadto drogim kosztem — możebym jeszcze wywalczył sobie stopniowo spokój i równowagę. Ale to przeświadczenie, że ty nietylko możesz, lecz i powinnaś nawet mi powetować wszystko, co poświęciłem dla ciebie — i że tylko tą drogą znajdziesz ratunek dla siebie — to przeświadczenie szczególnie dręczy mnie i zabija wobec twej... zaciekłości i okrucieństwa względem siebie samej, matki, ojca... i mnie nareszcie. Dlatego tylko, że płyniesz z nami w jednej łodzi — ośmielasz się, jak zbrodniarz-zabójca, odpychać ją od brzegu kwitnącego ku skale, aby, szukając śmierci dla siebie — rzucić w jej szpony inne ofiary!.. Prócz „niego“ i prócz „ciebie“ — byli jeszcze na świecie i inni ludzie, obdarzeni tak jak i wy zapewne pojęciami o szczęściu i nieszczęściu, o męce i spokoju, o krzywdzie i o sprawiedliwości. Byłem i ja naprzykład, na waszej drodze, po której kroczyliście, upojeni waszem świętem bogów. Obaliliście mnie po raz pierwszy nie z waszej winy. Podniosłem się zraniony i odzyskałem z trudnością siły. Odtąd, znane mi tylko były gorycze własnych trosk i pracy, słodycze pociech, niesionych cudzej niedoli. Lecz teraz, kiedy upadam po raz drugi, strącony z drogi waszej — czuję, że już nie wstanę. Bo teraz w tobie tylko skupiła się dla mnie cała ludzkość cierpiąca, jak gdybyś była najżałośniejszym jej symbolem. Z bólu swego zmartwychwstałaś, narodziłaś się raczej — na piersi mej, cudotwórczej miłością. Mamże cię z ramion wypuścić — byś znowu się staczała w tę bezdenną przepaść?... O droga! o jedyna moja! „On“ tylko jest przeszłością twoją — i tyś dawna, przeszła, wraz z nim żyć przestała, — pod białym. cichym wraz z nim spoczęłaś sarkofagiem cichego, bolesnego wspomnienia... Ale ta inna, ta nowonarodzona — do mnie należy tylko! Stworzyłem ją na nowo, zbawiłem i ocaliłem — a więc ja, twórca, — domagam się dzieła rąk swoich! Dzieła, które dokończyć jeszcze muszę, bo w gruzy znów się rozsypie, zanim je odbuduję do szczytu. Tyś moja! Pozwól mi cię uzdrowić, pozwól mi żyć przy tobie!... Przyszłość — przyszłości zostawmy. O milcz, zaklinam cię! ani słowa! O niech ci się nie wyrwie żaden wyraz protestu, żadne postanowienie złowrogie! Cicho!... cicho tymczasem o przyszłości. Jej tajemnicze, jej święte podwoje zamknięte jeszcze przed nami! Nie wdzierajmy się do nich! — to świętokradztwo. Słuchaj mnie — ty, śnieżna lilijko moja! tylko na rozkaz królowej mógłby niewolnik twój cichy podnieść do ust spragnionych czarę rozkoszy! O błagam cię, błagam, kładąc się u stóp twych żebraczym, złamanym już duchem — ratuj mnie, pozwalając się ratować! Rozkazuję ci nawet i grożę — śmiercią swoją! Bo jeśli

---

Wtem ujrzała rusałkę, zatrzymała konia, a po pięknej jej twarzy przemknął wyraz ironji i zawiści. Towarzysz jej obejrzał się zazdrośnie, szukając przedmiotu, który zwrócił na siebie uwagę pięknej pani i płonące oczy Ryszarda spotkały się niespodzianie ze smutnem spojrzeniem pobladłej Eli.

— Zdaje mi się, że widzę tam żonę pańską, — rzekła amazonka z drwiącym uśmiechem — czemuś jej pan nie zaprosił na naszą wycieczkę?

Posępna chmura przemknęła po czole Ryszarda.

— Wszak teraz nie można jeszcze ani trawy żąć, ani grzybów zbierać, nie znalazłaby więc na łąkach ani w gajach stosownej dla siebie rozrywki.

Śliczna amazonka głośnym parsknęła śmiechem, uderzyła szpicrutą rumaka i po chwili zniknęła wraz z Ryszardem na skręcie ulicy.

Ela siedziała długo nieruchoma na balkonie. O zmroku dopiero podniosła się i wolnym krokiem weszła do pokoju męża.

Wrócił był oddawna z rannej wycieczki i odszedł znowu. Pokój był pusty, ale na biurku paliło się zapomniane światło i krzesało djamentowe iskry w kryształowej wazie, w której czerwieniła się róża, do purpurowych warg pięknej kobiety podobna. Ela sięgnęła po kwiat. Wokoło jego szypułki wiła się delikatna nić czarnego jedwabiu — nie była to jednak nić, tylko długi, czarny włos jedwabisty...

Ela cofnęła się z pokoju tak cicho i wolno, jak przyszła, a po chwili opuściła niespostrzeżenie pałac, unosząc ze sobą różę...

*

* *

Na drugi dzień głośny płacz i narzekanie zbudziły Ryszarda: mamka jego dziecka wiła mu się u nóg, błagając litości. Miotany trwożnem przeczuciem, hrabia pospieszył do matki i zastał ją w rozpaczy nad pustą kolebką swego synka, — ale nie, kolebka nie była pusta: gdy chylił się nad nią, blizki omdlenia błysnęła mu na małej poduszeczce róża, do purpurowych warg pięknej kobiety podobna...

. . . .

Rusałka znikła ze swojem dzieciątkiem, ak gdyby się była naprawdę w białą mgłę rozpłynęła. Nikt i nigdy nie odszukał jej śladu

Tłum. *M. W.*

mnie odepchniesz — ulegnę już pokusie spoczynku i spokoju. Siły już tracę w męce, a przecieżem nie zaznał, jak tamten — ani chwileczki szczęścia. Przeszedł on po różach krótki szlak życia, usnął w objęciach twoich! Snem prześnionego szczęścia może i dotąd ukazywać się tobie! A ja? jakbym ja ci się mógł ukazać? Zdeptany, wzgardzony, odepchnięty!

— Tak! szala, ogromna, ciężka szala — przeważa się, przepełnia i ciągnie mnie ze sobą, jak piórko, nieprzytomną i oślepioną. Schylam się pod ciężarem tej szali. Idę więc na twój — i na wasz rozkaz, rodzice. Płacę wam dług mój, jak przez sądy skazany wierzyciel. Pamiętajcie! zmuszona, ulegam sile, przemocy sprawiedliwości. Nie zdradzam wcale „jego“ — lecz tylko pragnę zachować przy sobie lekarza i sługę mego — dla wygody! Kocham tylko tamtego — i wcale nie oszukuję własnego sumienia... bo nie kocham niewolnika mego, Konrada. Nie kocham go, tylko że ja... żyć bez... usług jego nie mogę!

V.

Usypia pod cichym, rozmodlonym wzrokiem, z dłonią uściśniętą w ciepłych i mocnych dłoniach...

Budzi ją straszne wstrząśnienie. W półmgle, w pół-mroku goreje i pali się potężny płomień groźnych źrenic. Uczuwa dłonie swe drżące w kościstym, kurczowym uścisku zimnych dłoni. Uczuwa oddech chrapliwy i cuchnący i słyszy głos urwany, pełen konania i gniewu:

— Moja! tyś tylko moja! Zastawiono na ciebie zasadzkę, zdradliwe sieci: Jak wymógł nowy twój wybraniec zgodę na ceremonję ślubną — tak też uzyska podstępnie miłość twoją. Wykwitnie ona z wdzięczności i przywiązania — i rzuci cię w jego objęcia! Tyś się zgodziła! Ha! — ale ja się nie zgadzam! Nie puszczę! nie dam! odepchnę!... Przyjdę! poślubię cię! poślubię!

— Konradzie! O, Konradzie!

— Cicho, cicho, jedyna moja! Ja tu! ja tu przy tobie! (Dok. nast.)



Szkice z nad Niewiaży.

17)

Nauczanie jest tak marne, że po dwuletniej nauce dziewczynka, wcale nie będąca ani leniwą, ani niezdolną, nie mogła złożyć egzaminu wstępnego do II. klasy pensji św. Katarzyny w Petersburgu, bo chociaż umiała rozwiązywać łatwe zadania na prostą regułę trzech, ale nie wiedziała, że w 450 zawiera się tylko 45 dziesiątków. To jest bardzo charakterystycznem! Pani ta, pomimo opinji, którą się cieszy, ufna w swe zasługi urzędowe, zwróciła się do Rady miejskiej w Poniewieżu z podaniem, w którem prosiła o udzielenie jej zapomogi w razie uzyskania przez nią przekształcenia tej szkoły na gimnazjum niższe (progimnazjum) z prawem publiczności; śmiech ogólny był odpowiedzią na to podanie.

Teraz słów kilka o statystyce szkolnej i o rezultatach nauczania; zaznaczam, że będę trzymał się faktów, zaczerpniętych tylko ze źródeł urzędowych. Mówią one jasno a wyraźnie; ta okoliczność uwalnia mię od konieczności wyprowadzania wniosków logicznych. Otóż podaję dane o ilości uczących się w niższych szkołach za lata 1884—1895:

225	szkół niż.	11.103	chłop.	1.171	dziew.	=	12.274
225	„ „	21.274	„	1.186	„	=	12.457
227	„ „	11.374	„	1.197	„	=	12.571
227	„ „	11.368	„	1.233	„	=	12.601
230	„ „	10.973	„	1.353	„	=	12.325
232	„ „	10.513	„	1.374	„	=	11.877
233	„ „	10.325	„	1.450	„	=	11.772
235	szkół niż.	9.684	chłop.	1.523	dziew.	=	11.380
236	„ „	10.642	„	1.830	„	=	12.470
237	„ „	10.693	„	2.048	„	=	12.741
238	„ „	11.054	„	2.326	„	=	13.386
241	„ „	11.442	„	2.558	„	=	14.008

Liczba więc uczących się w ciągu 12-tu lat zwiększyła się o 14·06%, chociaż przyrost ludności w tym czasie wynosił urzędowo około 10%; ale dokładne znaczenie tego faktu wykryje się zaraz. Sprawozdania urzędowe dzielą uczącą się dziatwę wedle wyznań i stanów; korzystam z podziału pierwszego, bo w naszych stosunkach jest on niemal identycznym z podziałem narodowościowym. W latach krańcowych 1884—1895 uczyło się w szkołach niższych 2912 i 5193 dzieci obojga płci, należących do kościołów wschodniego i luterskiego, oraz do t. zw. odszczepieńców.

Dzieci katolickich uczyło się:

w 1884	r.	9.023	chłop.	339	dziew.	=	9.362
„ 1885	„	9.163	„	321	„	=	9.484
„ 1886	„	8.800	„	286	„	=	9.086
„ 1887	„	8.696	„	344	„	=	9.040
„ 1887	„	8.324	„	347	„	=	8.673
„ 1889	„	7.893	„	307	„	=	8.200
„ 1890	„	6.978	„	325	„	=	7.303
„ 1891	„	9.688	„	270	„	=	7.158
„ 1892	„	7.634	„	463	„	=	8.097
„ 1893	„	7.439	„	583	„	=	8.022
„ 1894	„	7.969	„	691	„	=	8.666
„ 1895	„	8.334	„	752	„	=	9.086

czyli, innemi słowy, liczba uczących się dzieci katolickich wynosiła tyle, ile przed 10-ciu laty, a w porównaniu z r. 1885 zmalała o 398, czyli o 3·2%, pomimo znacznego przyrostu ludności i usiłowań administracyjnych.

W urzędowem sprawozdaniu dyrekcji szkół ludowych za 1896 r. wprost powiedziano, że zaledwo 4·6% ogółu dzieci włościańskich uczęszczało do szkół rządowych, t. j. na 21—22 dzieci, tylko jedno pobierało naukę w duchu narzuconym z góry*).

Wszelkie komentarze są zbyteczne: dane urzędowe mówią aż nadto wymownie o bezowocności usiłowań wszelkich.

Teraz słów parę o rezultatach nauczania. Celem szkoły ludowej jest rozpowszechnienie języka państwowego, oraz kultury rosyjskiej; o ile osięga ona ten cel — niech na to odpowiedzą fakty, poniżej przytoczone, a stwierdzone urzędownie.

Wedle książki jubileuszowej (str. 129—130), w ciągu 30-tu lat uczyło się w szkole ludowej około 75.000 dzieci; ukończyło zaś ją 19.000 chłopców i 1500 dziewczynek. Otóż z 10.653 popisowych, wziętych do wojska w latach 1885, 1887 i 1888, tylko 333 skorzystało z ulgi czwartego stopnia, t. j. ukończyło szkołę ludową, co stanowi zaledwo 3·12% liczby ogólnej, chociaż procent umiejących czytać (umiejętności czytania druków litewskich czcionkami łacińskiemi nie bierze się pod uwagę), wynosił odpowiednio: 18, 16, 20, 20, a w r. 1889 nawet 26. O zebranych w Telszach na ćwiczenia wojskowe członkach pospolitego ruszenia (opołczenja) z całego powiatu pisano: „Komendant zgromadził dziesiętników pospolitego ruszenia, wyjaśnił im przyczynę nabożeństwa, opowiedziawszy o cudownym wypadku z dnia 29. (17.) października 1888 r., oraz rozkazał przetłumaczyć to dziesiątkom po żmudzku, ponieważ wśród pospolitego ruszenia nie więcej, niż 25 ludzi posiadało język rosyjski". (Kowieńskie Wiadomości gubernialne 1895 r., str. 85, dodatek).

Przed laty kilku komitet statystyczny badał kwestję rozpowszechnienia znajomości języka państwowego wśród ludu; dane te zostały później ogłoszone. Oto, co o tem pisze urzędowy „Pamiętnik gub. kowieńskiej na rok 1891" na str. 84: „Litwin tutejszy (pow. Wiłkomierski) jest żywszy i śmielszy, niż Żmudzin, nie tak skryty i podejrzliwy, oraz mniej zabobonny Mieszkając bliżej Białej Rusi, uległ on wcześniejszym i głębszym wpływom ruskim; mowa słowiańska więcej mu jest znana, niźli Żmudzinom. Mimo to jednak, podług obliczenia, dokonanego w r. 1890, okazało się, iż tylko 6659 osób, t. j. 4% umie czytać po »rusku«, a 18.130 osób, czyli 13% włada (rozumie) językiem państwowym«. Urzędowy »Pamiętnik gub. kowieńskiej« na r. 189., str. 105, mówi, że w pow. kowieńskim tylko około 5·5% ogółu ludności wiejskiej umie czytać po rosyjsku, gdy — dodaje źródło oficjalne — umiejących czytać po litewsku w każdej włości narachowano setki i tysiące. W tymże Pamiętniku gub. kowieńskiej czytamy, że włościanie pow. rosieńskiego bardzo łatwo i chętnie uczą się po polsku, gdy natomiast wszelkie usiłowania rozpowszechnienia języka państwowego wydały rezultaty następujące: w r. 1890 okazało się, że tylko 531 dzieci do 12 lat umiało czytać po rosyjsku, a osób starszych ponad ten wiek 4474, czyli razem około 5000, czyli 3·5% ogółu ludności włościańskiej (Pamiętnik gub. kow. na r. 1893, str. 110).

*) Pamiętnik gub. kow. r. 1898, str. 45.

(Dok. nast.) *J. Syrokomla.*



Z pism i książek.

Wiktor Sońki. Z przeszłości Śląska. Część pierwsza (z pisownią Szląsk a nie Śląsk) wyszła w r. 1895. Część druga w r. 1899. W Bytomiu G. T. nakładem „Katolika".

Jest to dziełko przeznaczone dla ludu. W szeregu drobnych szkiców, opowiadań, nieraz notatek prawie podaje autor zarys historji dzielnicy Śląskiej od najdawniejszych czasów. Całość składa się z nieusystematyzowanych zresztą wypisów z najrozmaitszych kronik i dokumentów, zarówno z literatury polskiej, jak i niemieckiej, przeważnie ze Stenzla. Materjałów do historji Śląska tam dużo. Znajdujemy tam zarówno rzut oka na „wewnętrzne stosunki Śląska przed kolonizacją niemiecką", jak i na „polskich rzemieślników na Śląsku do XII. wieku".

Część druga, obecnie wydana, podaje kilka etnograficznie ciekawych szczegółów, dotyczących obyczajów szlachty śląskiej w XVII. w., stosunków przykrych na Śląsku w tejże epoce, jak niemniej ubiorów i ceremonij przy chrztach, ślubach i pogrzebach. Tenże tomik podaje zarys stosunków handlowych pomiędzy Polską a Śląskiem, jak również zarys ustroju społecznego Śląska, — wszystko w zarysach bardzo miniaturowych, nie wyczerpując tematu.

Wobec rzadkości książek, poświęconych przeszłości, mianowicie polskiej przeszłości Śląska — książka p. Sońskiego pożądana być być może nietylko dla prostego ludu na Śląsku, ale i dla sfer inteligentniejszych.

K. R.

Z „Drukarni Udziałowej" we Lwowie, ul. Lindego 8.